Opłata ryczałtem

Cena 40 groszy

RACJONALISTA

MIESIĘCZNIK

ORGAN WARSZAWSKIEGO KOŁA INTELEKTUALISTÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ

ROK III. WARSZAWA — GRUDZIEŃ 1932 Nr. 12.

Komunikat.

Z najgłębszym bólem patrzymy na to, co dzieje się obecnie w życiu naszych szkół akademickich. Rzucone przed rokiem hasło eksterminacji kolegów Żydów, poparte hasłem bicia opornych, staje się ideą naczelną olbrzymiej masy młodzieży. Działa już tak pożądane dla podżegaczy, w odrażający sposób sprzęgane z pietyzmem i patrjotyzmem, pragnienie zemsty za krew zabitych kolegów, przelaną od ciosów, padłych w obronie, a tu i owdzie może nawet w występnie zapalczywem, wskutek doznanych obelg i gwałtów, przeciwnem natarciu. Nienawiść narodowa odniosła stanowcze zwycięstwo w murach uniwersytetów nad chęcią zgodnego współżycia ze współobywatelami Żydami, nad więzami koleżeństwa, nad respektem dla przybytków kultury duchowej. Forma tej waśni nosi piętno brutalności, budzącej zasłużoną odrazę u ludzi, godnych szacunku, brutalności tem wstrętniejszej, że scalonej w sposób potworny z ostentacją rzekomego chrześcijaństwa. Młodzież, hamowana w rozwoju intelektualnym m. in. przez używającą katedr naukowych propagandę wyznaniową, przeciwną prawdzie i uczciwości myślenia, ulega sugestjom prymitywnej demagogji, narażając na śmiertelne niebezpieczeństwo swobodę organizacji wewnętrznej szkół wyższych, a przez to i wolność nauczania. Wypadki toczą się po linji wprost przeciwnej naszym dążnościom naczelnym. W tym stanie rzeczy trudno nam przemawiać do serc, zatrutych złością i kłamstwem, a równie trudno znaleść drogę do odurzonych rozumów. Obyż zyskali posłuch u młodzieży ci z jej duchowych przywódców, którzy jeszcze nie zatracili sumienia.

Zarząd Warsz. Koła Intelektualistów
Prezes: Tadeusz Kotarbiński.
Sekretarz: Tadeusz Jaroszewski.

TADEUSZ KOTARBIŃSKI.

Przygodne refleksje.

Którejś niedzieli, w dzień letni, wybrałem się do wiejskiej cerkiewki unickiej na podgórzu huculskiem. Idąc, mijało się nagrobki z krzyżami, a wszędzie napis zaczynał się od słów, na których wszystko się kończy: „tut poczywaje“... Krzyż, symbol spraw ostatecznych, koi tu i jednoczy. Boć wszystko jedno, w zestawieniu rachunków, czy piszą na nim „tut poczywaje“, czy „tu spoczywa“, jeden kres, nasypali piasku i koniec. Wznosi się ten krzyż nad wieżą Babel języków i języczków, zapomina się pod nim, że po polsku jest „woda sodowa“, a po rusku „sodowa woda“ i jakoś inaczej wyglądają z górnego dystansu sprawy minorum gentium. A cóż, gdyby tak otrząsnąć z drzewa chrześcijaństwa wszystkie zwiędłe liście, gdyby zostawić jeno żywą zieleń powszechnego miłosierdzia, gdyby zapragnęły nadewszystko owoców z tego drzewa udręczone ludy i narody... Oto właśnie w tych dniach butny kierowca bezkarnie zbił po twarzy prymitywnego chłopa, bo mu się z drogi nie umknął... Dokoła cerkwi i wewnątrz było pięknie. Stare drzewa, tu przynajmniej bezpieczne od chciwej siekiery. Nabożeństwo... Coś niby koncert poważnej muzyki, coś niby pokaz ikon bizantyjskich, dostojny jakiś taniec rytualny... Teatr, nastrojowe misterjum... Nie zwada ani targ o grosz, ani obleśna wesołość przy kuflu, kartach, nie jurność elementarna i elementarne jej skutki...

Ale oto ksiądz otwiera księgi i zaczyna czytać ewangelję. Gdzie treść? Treść przepadła w skrótach i pomrukach... Istotnie, naiwnościąby było szukać treści tutaj. Ewangelja we mszy stała się tylko okazją do obrzędu. Miarowym rytmem falują gregorjańskie kadencje. Obrzędowe recitativo brzmi pięknie, lecz... bez sensu. Idee żywe niegdyś i ważne stały się motywem ornamentu. To tak, jak gdyby unizano misterną koronkę z kunsztownych wzorów jakowejś starej, dziś już anachronicznej i zapomnianej algebry... Jednakże nabożeństwo właściwe już się kończy i następuje część dydaktyczna — kazanie. Ksiądz, wcale nie najgorszy do tego urzędu, człowiek o twarzy wyrazistej, głosie wnętrznym, spojrzeniu uczuciowca i marzyciela, zaczyna mówić. Słuchajmy. Strofuje zrazu, że dzieci — a nawet i dorośli — podczas nabożeństwa wchodzą i wychodzą, co jest niestosowne i przeszkadza innym w modlitwie. Potem czyta długą listę zapowiedzi: Wasyl Martyniuk ma wstąpić w związki małżeńskie z Oleną Bałahurak, a Petro Kijaszczuk — z Marusią Wintoniak... Sprawy prywatne, tak samo tutaj zbędne, jak wiadomości o rejestracji stowarzyszeń. Do ma-

gistratów z tem, nie do kapłanów... W końcu pouczenia moralne. Rzecz osobliwa. Najciekawszem z nich było nawoływanie do niezależności przekonań... Tu ksiądz zapalił się do tematu. Potępiał pasterzy, co chcą się przypodobać ludowi i prawią mu to i owo wedle jego gustu. Dobry pasterz bez demagogji pełnić winien swą powinność i nie zabiegać o poklask „pana ni Iwana", lecz choćby wbrew ich upodobaniom głosić prawdę... Zabrzmiało w uszach czemś znanem, przypomniał się jakiś finał z Horacego: „...si fractus illabatur orbis, impavidum ferient ruinae". O, więcej: toż to przecie słynny aforyzm Focjona Ateńczyka, owego ostatniego ze sprawiedliwych Greków, który, gdy mu tłum na agorze bił oklaski, odwrócił się do przyjaciół i spytał: „Drodzy, powiedzcie, czym nie rzekł jakiej zdrożności, bo oto lud pochwala moje zdanie..." Szanowny księże, powtarzasz mądrość „pogańską", sięgasz do Hellenów, przypominasz nam niechcący coś, o czem, wedle twojej wiary urzędowej, winniśmy raczej zapomnieć: że po wielkie idee moralne iść trzeba dziś jeszcze do starych myślicieli greckich, do tych, co myśleli swobodnie i niezależnie, a serca mieli wielkie i wspaniałe, do nieśmiertelnej „Obrony Sokratesa", do „Antygony", do wielu innych znakomitych dzieł, równie godnych, jak legenda o jezusowem męczeństwie, a nierównie mędrszych od naiwności ewangelicznych cudów — i od tego, co ci każe głosić (wbrew twemu przekonaniu, przyznaj...) niepoprawny, uparty, zatwiardziały w nieprawdzie Rzym. Oto bowiem rozpoczyna się kazania część ostatnia — orędzie papieża z okazji 1500-lecia soboru w Efezie. Odczytał je ksiądz od ołtarza, a potem tłumaczy zgromadzonym gazdom w owczych serdakach i niepiśmiennym dziewczynom, że nie miał racji ów niecny i przewrotny Nestorjusz, gdy odmawiał Marji tytułu Matki Bożej... Zważcie: Matki Boskiej nie chciał uznać za taką... A kościół nasz poucza i nie dopuszcza wątpienia, że Jezus Chrystus miał wprawdzie dwie natury, boską i ludzką, lecz w jednej zespolone osobie, nie w dwóch osobach, jak twierdził błędnie ów heretyk Nestorjusz... Gazdowie w owczych serdakach, niepiśmienne dziewczyny, chłopcy nieletni — wszyscy słuchali z poważnemi minami przemądrzałych wywodów teologa. W tej chwili cerkiew wypełniła się swędem jakiejś sarkastycznej potworności. Doprawdy, sam szatan nie mógłby wymyślić lepszej karykatury dla wyszydzenia odwiecznej swej kamratki, teologji oficjalnej, zgrozy i przekleństwa kapłańskiego fachu. Oto i koniec reportażu o zdarzeniu autentycznem i znamiennem, a nie przypadkowem bynajmniej. Przed laty przytrafiło mi sie coś bardzo podobnego. Też którejś niedzieli zaszedłem do kościoła na wsi. Tym razem dostałem się odrazu in medias res i wysłuchałem kazania o różnicy między protestanckiem a katolickiem rozumieniem eucharystji. Tłumowi górali prosto od owiec retor dowodził z ambony, prawem i lewem , a górnolotnie, a wzruszająco — że to oczywiście kato-

licyzm ma rację, utrzymując, iż ciało i krew Pańska stoi tam w kielichu mszalnym, a nie tylko jej symbol z przaśnego ciasta, jak chcą ci politowania godni luteranie... Co to za wiara! Co to za kościoły, te kirchy luterskie, w których nawet na ołtarzach „niema Boga". Te dwa przypadki — to wcale nie przypadki, lecz ilustracje metody nauczycielskiej i treści nauk naszych szamanów. Przypisać te i tym podobne ekstrawagancje poprostu defektom intelektualnym — to doprawdy najłagodniejsza, najżyczliwsza ocena. Ale takiego ujęcia rzeczy nie akceptują znawcy tej sfery. Ci powiadają, że robi się to wszystko świadomie i ze zrozumieniem całej istoty perwersji. Czemu więc tak? Do czego służy ta samobójcza taktyka autokompromitacji? Odpowiedzi trzeba szukać pono w przystosowaniu do psychiki tłumu... Uwierzą właśnie w to, co tajemnicze, nieprawdopodobne, co wygląda na jakiś walny absurd! Zwykła rozumna myśl nie porwie prymitywów. Raczej niedowierzanie wzbudzi i niechęć. Ale naopowiadać im niestworzonych rzeczy i niezwykłości nie szczędzić, a uwierzą, przysięgną na ten męt i pójdą za nim... Na tem się kończy analiza kazań, rozpoczętych piękną maksymą o rzetelności słów i potępieniem koncesyj demagogicznych ze strony uczciwego mówcy. — Zachodziłem jeszcze tego lata do innych kościołów w pobliskich okolicach. Przy wejściu do jednego z nich umieszczono orędzie biskupa, który zakazuje w swej djecezji wstępu do świątyń niewiastom, noszącym rękawy zbyt krótkie. W drugim kościele, u wejścia, wisiało coś w rodzaju jadłospisu. Przepisuje się tam szczegółowo, co katolik może spożywać w piątek, co we środę, a co w inne dni wielkich i małych postów. Czytelnik uczy się przy tej sposobności, że rosół w post jest potrawą grzeszną, ale słonina, użyta do okrasy, mieści się w granicach świątobliwego żywota... A jeszcze było tam o jakichś odpustach za jakieś tam pacierze i ofiary w groszu, byleby z intencją pobożną złożone... Skleroza, marazm, kres...

JÓZEF LANDAU.

Sine ira

W odpowiedzi na moją recenzję z książki p. Wiesława Stena p. t. „Jahwe", umieszczoną w Nr. 8 „Racjonalisty", zamieścił szanowny Autor w Nr. 22 „Wolnomyśliciela Polskiego" obszerną replikę, której treść można rozbić na dwie części: pierwsza — to przeprowadzenie dowodu, że recenzent (a więc — ja) nie ma nawet przybliżonego pojęcia o traktowanym przedmiocie, i że lekkomyślnie przeciwstawia swoje płytkie wywody wynikom głębokich badań sz. Autora, druga — to usiłowanie stwierdzenia, że przekład biblji, dokonany przez J. Wuj-

ka z łacińskiej Vulgaty, jest bardziej wartościowy pod względem naukowym, niż tekst hebrajski, i że zresztą tekst pierwotny biblji wogóle nie istnieje, a są tylko wersje: grecka, łacińska, syryjska, czy hebrajska, ta ostatnia — archeologicznie najmłodsza i z tego względu prawie że bezwartościowa dla badaczów.

Pierwszą część repliki pozostawię bez odpowiedzi, bo nie sądzę, żeby kogokolwiek zpomiędzy czytelników mogło zająć dowodzenie, czy pan X. ma prawo pisać, lub czy p. Y. ma prawo krytykować, choćby nawet odpowiedź moja była naszpikowana taką samą ilością zbędnych docinków osobistych i złośliwych uwag, jakich szanowny Autor nie szczędził mi w swej replice. Przecież piszemy, szanowny panie Autorze, dla czytelników, a nie dla siebie, nie mówmy więc o sobie, bo to przedmiot dla innych nieciekawy, mówmy tylko o rzeczy samej, t. j. o biblji.

A więc faktem jest niezaprzeczonym, że nie istnieje jakikolwiek „oryginalny tekst“ biblji. Istnienie podobnego tekstu byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby wszystkie księgi zostały napisane tylko raz jeden, i gdyby ten oryginał zachował się do dziś dnia. Wiemy jednak, że księgi te były przepisywane nieskończoną ilość razy, że przepisywacze, bądź przez nieudolność, bądź przez zelotyzm, poprawiali, przeinaczali, zmieniali tekst pierwotny setki razy, że więc księgi biblijne są jedynie resztkami swego pierwowzoru. Ale wiemy też i to, że biblja spisywana była pierwotnie w języku hebrajskim, że specjalnie pięcioksiąg Mojżesza był otaczany niezwykłym pietyzmem przez żydów, że stale odczytywano tygodniowe ustępy z pięcioksięgu w świątyni jerozolimskiej setki lat przed nar. Ch., że więc, chociaż niewątpliwie pewne zmiany przy przepisywaniu mogły powstawać i powstawały, to jednak zasadniczy tekst pięcioksięgu może być uważany poniekąd za oryginał. Benedykt Spinoza uważa np., że ostateczną redakcję pięcioksięgowi nadał Ezdrasz w V-ym wieku przed Chr. (Traktat Teologiczno-Polityczny c. 8, 9.), a tej miary uczony, co Delitsch, twierdzi, że tekst pochodzi z epoki o wiele wcześniejszej , z epoki przypuszczalnej Mojżesza, z pewnemi tylko interpretacjami i dopełnieniami późniejszemi. W każdym zaś razie najprawdopodobniej w I-ym wieku nowej ery pięcioksiąg był już „obliczany“, t. j. obliczona była ilość wyrazów i liter, w nim zawartych, ewentualne zaś poprawki masoreckie mogły się tyczyć jedynie interpunktacji.

A teraz — tłumaczenia: najstarszy przekład, t. zw. „Septuaginta“, uskuteczniony został przez 72 uczonych hebrajczyków, znających język grecki, dla tych żydów, którzy nie znali już języka hebrajskiego, w III-im wieku przed Chr. Przypuszczalnie przekładu dokonano nie wspólnie, lecz grupami, t. j. po kilku uczonych na każdą oddzielną księgę. Wskutek tego przekład jest niejednolity, nierówny. Pietyzm względem tekstu

„świętego“ był niezmierny, aż do niedorzeczności. Naprzykład hebrajski określnik biernika „as“ tłumaczono po grecku „sûn“. Takie „dosłowne“ tłumaczenie zaciemniło odrazu właściwy tekst, nic więc dziwnego, że późniejsi przepisywacze, może nawet lepiej znający język grecki od owych rabinów, zmieniali wyrazy i całe wersety, tak że już w pierwszych wiekach po Chr. tekst Septuaginty stał się w wielu miejscach poprostu niezrozumiały. „Hexapla“ Orygenesa niewiele poprawiła sytuację, a łacińskie tłumaczenie „Itala“ zostało tak zniekształcone przez przepisywaczy, że z polecenia papieża Damazego dokonał Hieronim nowego przekładu z tekstu hebrajskiego w końcu IV wieku. Oto jest właśnie „Vulgata“.

Ale i „Vulgata“ nie uniknęła zresztą losu swych poprzedników. Nieudolni przepisywacze zniekształcili jej tekst, oryginał dawno zaginął, i przez całe średniowiecze „uczeni kościoła“ odrestaurowywali zaginiony tekst „Vulgaty“. Z tej właśnie „odnowionej“ Vulgaty dokonał wreszcie przekładu na język polski J. Wujek w XVI wieku, przekład zresztą w wielu miejscach niezgodny z prawie jednoczesnemi innemi przekładami polskiemi (biblja Radziwiłłowska, Nieświeska, Gdańska).

A teraz zreasumujemy: tekst hebrajski jest pierwowzorem dla Septuaginty, której oryginał zaginął, a kopie są zniekształcone. Tosamo z Vulgatą. Przekład Wujka — z odnowionego po tysiącu latach tekstu Vulgaty. Sam przekład nieścisły i niezgodny z innemi przekładami. Ale szanowny Autor „Jahwy“ twierdzi z całą pewnością, że Wujek daje nam daleko wiarogodniejszy materjał do badań, niż np. tekst hebrajski. Cóż na to odpowiedzieć?

Dlaczego sz. Autor, tak surowo traktujący ewentualne zmiany tekstu hebrajskiego, wprowadzone przez przepisywaczy, zapomniał o ewentualnych zmianach, wprowadzonych przez przepisywaczy tekstów greckich czy łacińskich? Dlaczego sz. Autor tak mocno akcentuje pietyzm dla biblji kościoła rzymsko-katolickiego, a nie wierzy w pietyzm dla biblji żydów, jakgdyby ci ostatni dopiero w X lub XII wieku po Chr. uznali biblję za „świętą“? Dlaczego sz. Autor, obejmując jedną nazwą „biblji“ wszystkie księgi starego testamentu, nie wspomniał o ustaleniu o wiele wcześniejszem tekstu pięcioksięgu, który przecież musi być podstawą dla badań religji palestyńskiej? Oto są pytania, na które nie znajduję odpowiedzi. Nie mogę więc uznać za uzasadnione stanowiska sz. Autora, twierdzącego, że tłumaczenie Wujka jest miarodajniejsze i pewniejsze, niż wszelkie inne teksty, nie wyłączając nawet hebrajskiego.

Gdyby jeszcze szło np. o badania, tyczące się historji moralności lub rozwoju kultury jednego z drobnych ludów starożytności, rozumiałbym, że badaczowi chodzi o fakty, same tylko fakty, a wtedy rzeczywiście taka lub inna interpretacja danego wersetu nie odgrywałaby już większej roli, o ile samo istnienie faktu nie ulegałoby wątpliwości a wystarczało do wy-

ciągnięcia wniosku. Ale sz. Autor idzie zupełnie odmienną drogą: założywszy zgóry, że Jahwe jest upostaciowaniem księżyca, szuka następnie w biblji wersetów, z których możnaby było wyciągnąć potwierdzenie jego teorji. A w tym wypadku — nie chodzi już o żadną ideę, o żadną myśl przewodnią: chodzi o wyrażenia, nawet o pojedyncze słówka. Jakąż wtedy wartość naukową może mieć przekład Wujka, zrobiony z zniekształconego przekładu łacińskiego również zniekształconego tekstu hebrajskiego? Czy naprawdę nie byłoby słuszniejsze sięgnąć odrazu do owego tekstu?

To, zbyt już jednostronne stanowisko sz. Autora pociągnęło za sobą dość niemiłe konsekwencje: w pogoni za wersetami czy słówkami, któreby poparły jego aprioristyczne twierdzenie o księżycowości Jahwy, sz. Autor wyrabia sobie bardzo wygodną metodę: jeśli jakieś zdanie daje się w jakibądź sposób skomentować dla poparcia jego założenia, wtedy zostaje zaliczone do właściwego tekstu biblji; jeśli jest ciemne, lub obrazowe, wtedy je bierze z tłumaczenia, dla siebie wygodniejszego; a jeśli całe zdania, rozdziały, nawet księgi, wręcz sprzeciwiają się jego założeniu, wtedy poprostu je przemilcza, lub podaje w wątpliwość ich autentyczność lub wartość archeologiczną.

Objaśnijmy to na przykładach.

„El-eljon“ — bóg najwyższy. Sz. Autor przyznaje, że wprawdzie w biblji są wersety, gdzie „eljon“ ma znaczenie superlatywu, ale są też i takie, gdzie można zamiast znaczenia przenośnego, nadać mu znaczenie dosłowne, co właśnie sz. Autor uczynił, znajdując w tem potwierdzenie swej tezy dystansu. Bóg wysoki, a więc Jahwe—księżyc, szybujący w niebie.

Natomiast, gdy Jeremjasz w Trenach (1, 15) lub Jezajasz (63 — 2, 3) mówią o gniewie Jehowy, wyciskającego krew w prasie swej zemsty, sz. Autor nie chce już brać tego dosłownie, ale w przenośni szuka potwierdzenia swej tezy, że Jahwe był księżycem czerwonym przy wschodzeniu w pełni lub też gwiazdozbiorem Bootesa. („Jahwe“, str. 199, 200).

„Oblicze Jahwy“ bierze sz. Autor dosłownie, bo mu jest potrzebna twarz księżyca, ale w „obliczu Mojżesza“, lub w „obliczu wód“ szuka jakiejś głębokiej przenośni, bo te wyrażenia są mu niewygodne... „trzeba przedtem zbadać, — mówi w swej replice — w całkowitem oderwaniu od interpretacji wyznaniowej i nie mniej płytkiej interpretacji racjonalistycznej, uosobieniem czego jest Mojżesz i co to są „wody“ biblijne“. Dziękując sz. Autorowi w imieniu racjonalistów za pochlebny epitet, pozwolę sobie jednak zadać pytanie: czy sz. Autor naprawdę nigdy nie słyszał zdania: szlach lechmecho el penaj hamaim = rzucaj chleb twój na łono wód, dosłownie — posyłaj chleb twój na oblicze wód? A jeśli słyszał, to jakie głębokie, ezoteryczne znaczenie przypisuje temu obliczu i tym wodom?

Zaznaczam z całą przyjemnością, że przeciwstawienie „za-

słony" — „związce" sz. Autora nic mi nie pomogło: przedtem była związka ułamkowych faz ezoterycznej pełni księżyca. a teraz będzie zasłona światłości, pokrywająca ezoteryczną pełnię księżyca. Co kto woli.

Natomiast wszelkie moje zastrzeżenia w sprawach językowych co do tyłu Jahwy, obracania się jego, wstępowania, i t. d. nie uznane zostały za godne odpowiedzi, bo wymagałyby zbyt głębokiej analizy. Jeśli zaś chodzi o ustępy przemilczane, to tych jest — cały legjon. Ale nie będę przytaczał powiedzeń proroków, ani psalmów, bo to są rzeczy prawdopodobnie później pisane. Natomiast pozwolę sobie przypomnieć, że w rozdziale I-ym i II-im I-ej księgi mojżeszowej przypisuje się Jehowie stworzenie słońca, księżyca i gwiazd. Może sz. Autor w którejś ze swych dzieł poruszył ten przedmiot, w takim razie najmocniej przepraszam, nie czytałem ich może dość uważnie; ale radbym. bodaj drogą prywatną, dowiedzieć się, jak sz. Autor wyjaśnił, że księżyc stworzył słońce, a potem samego siebie.

Sz. Autor żąda ode mnie, abym dowiódł, że podane przez niego wersety można inaczej skomentować, i dojść do wniosków wręcz przeciwnych. Niestety, żądaniu temu nie mogę uczynić zadość. bo zdaję sobie sprawę, że pracy tej trzebaby było poświęcić więcej czasu i energji, niż ja posiadam; ale dziwi mnie bardzo, że sz. Autor, specjalizujący się w tej gałęzi wiedzy i zapowiadający jeszcze cztery dzieła na ten sam temat, nie zna odmiennych komentarzy; przecież w tej sprawie już wyszły całe bibljoteki, że przytoczę tylko nazwiska: Spinoza, Mendelson, Hartman, Ewald, Murphy, Thormayer, Schwenke, Wordsworth i setki innych.

Na zakończenie pozwolę sobie na jedną uwagę. Niema bardziej śliskiej drogi, jak wyprowadzanie wniosków z analogij, opartych na tym czy innym dźwięku, lub tem czy innem znaczeniu danego wyrazu. Przypomina mi się, jak przed kilku laty znany fantasta, znakomity zresztą pozatem pisarz, dał mi do przeczytania pracę swoją o pochodzeniu religji. Dowodził on, że pierwsze pojęcie boga człowiek wyrobił sobie na podstawie echa, wracającego od lasu, który według pojęć pierwotnego człowieka był siedliskiem boga. Na poparcie tego twierdzenia przytaczał m. in. podobieństwo brzmienia wyrazów echo i Jehowa, albo el i jel (po rosyjsku — jodła). Uśmieliśmy się później obydwaj z tego.

Komunikat.

Ukazała się w prasie petycja do Prezydenta Rzeczypospolitej, dotycząca represyj za uchylenie się od służby wojskowej z pobudek etyczno-religijnych a podpisana przez kilka towarzystw z „Polskiem Stowarzyszeniem Etycznem" na czele. Z

ckazji skazania opornych na dwa lata więzienia powtórnie w jednym przypadku, a po raz trzeci w innym — podpisane zrzeszenia wnoszą, by usuwano z szeregu poborowych takie osoby już po pierwszym wyroku, a nie powtarzano kary wielokrotnie. Trudno nie przyłączyć się do tej inicjatywy w zasadniczej osnowie. Musi wszak wzbudzać słuszne sprzeciwy traktowanie upartych wyznawców idei na wzór zawodowych recydywistów. Wogóle zresztą wiele jest w naszem prawie karnem zbytniej surowości a nawet okrucieństwa zamiast profilaktyki, wychowania, ściągania realnych odszkodowań, opieki nad pokrzywdzonymi (zarówno gdy krzywdę wyrządza przestępstwo, jak kiedy źródłem jej jest kara, wymierzona przestępcy), zamiast wreszcie względów na dobroć serca i głębiej rozumianą sprawiedliwość. Osobliwie zaś domaga się reformy stosunek karny do przestępców, działających z pobudek szlachetnych. Okropnością jest gotować takim ludziom los na wzór losu pospolitych zbrodniarzy, działających z motywów niecnych. — Jednakże całości wspomnianej petycji zwolennik programu naszego podpisać nie może, zawierając bowiem w dalszej części postulat zwolnienia od służby wojskowej osób, które nie chcą służyć w wojsku ze względów etyczno-religijnych, petycja nie określa bliżej warunków tak wielkiej koncesji, ani nie wspomina o ewentualnych formach służby publicznej zastępczej, natomiast przez wysunięcie religijnych motywów, właśnie najbardziej nam obcych, kieruje sprawę — wbrew intencjom inicjatorów—na tory umocnienia istniejących już w naszym kraju przywilejów duchowieństwa wolnego od niebezpieczeństw służby wojskowej. Przy rozważaniu możliwych zmian w ustawach o poborze wojskowym należy mieć na uwadze nie tylko przekroczenia osób powoływanych do szeregów, lecz nadto łatwość nadużywania tolerancji dla przekroczeń ze strony osobników, działających dla osobistej korzyści lub wogóle z pobudek nieobywatelskich; należy wreszcie mieć wzgląd na zapewnienie państwu należytej obrony. Ten zaś wzgląd staje się szczególnie aktualny w krajach, narażonych na niebezpieczeństwo napaści.

REDAKCJA

K. D.

Pokłosie z wycinków.

P. Jan Matyasik w artykule swym p. t. „Zamach gen. Sanjurjo i skutki dyktatury", wydrukowanym w „Kurjerze Poznańskim" (nr. 406, z 6.IX. 32), tak pisze o Hiszpanach:

„Jest to żywioł pobudliwy, namiętny i pozbawiony zupełnie wychowania obywatelskiego, gdyż ani m o n a r c h j a, ani tem

mniej dyktatura o wychowanie to nie dbała, rządząc przy pomocy siły. Ileż to razy czytałem tu (w Paryżu), w ogrodzie Luwru na pomniku Waldeck-Rousseau'a słowa, że lud, aby był rozsądny, musi przejść naprzód przez długi okres wolności. O tej prawdzie zapominają wszędzie zwolennicy dyktatur".

Słuszna uwaga, tylko dlaczego autor poprzestał na wymienieniu tylko monarchji i dyktatury? Czy autor nie zauważy, że dyktatury — z lewa, czy z prawa — mają wzór wspaniały w instytucji kościoła rzymskiego. Przecież dyktatura może tylko istnieć tam, gdzie jest wybitny rozdział między tymi co komenderują, a tymi co słuchają. A gdzie, w jakiej instytucji, czy to świeckiej, czy religijnej istnieje bardziej przepaścisty rozdział między komenderującymi (kościół nauczający), a słuchającymi (wiernmi), niż w kościele rzymsko-katolickim? Toż tam nawet reprezentanta kościoła nauczającego zaopatrzono atrybutem nieomylności...

Papizm — to dyktatura nad dyktaturami. Tego p. Matyasik nie dojrzał...

* * *

W swoim czasie jeden z publicystów naszych nazwał z dużą dozą słuszności papieża Piusa XI, z powodu niezliczonej ilości encyklik — „grafomanem". „Obraził się" nuncjusz Marmaggi i zażądał „satysfakcji" w jednem z naszych ministerstw. Wszakże — spotkał go zawód...

Ale oto niedawno inny pisarz nazwał Jezusa „zarozumialcem" („WP." nr. 11/32) i aczkolwiek trudno uznać ów epitet za właściwy, jednakowoż ani nuncjusz, ani inny „książę watykański" nie pośpieszył z wizytą do ministerstwa...

Dlaczego? Bo — cóż ich Jezus obchodzi... Wprawdzie to ich Bóg, ale papież to ich „pan" („bliższa koszula ciała"), a biskup wszak przysięga właśnie: „zbuntowanych przeciwko temuż panu naszemu (t. j. papieżowi) i jego następcom, o ile to będzie w mej mocy, będę prześladował i tępił"...

Wprawdzie w przysiędze tej jest mowa o prześladowaniu i tępieniu heretyków i schizmatyków, ale nazwanie Jezusa „zarozumialcem" nie jest ani herezją, ani schizmą; nazwanie zaś papieża „grafomanem" jest oczywiście, „buntem" przeciwko papieżowi.

Więc — o pomoc do „ramienia świeckiego", środki bowiem „duchowne" są na tym świecie więcej niż zawodne. Przy konsekwentnem ich stosowaniu — wyklęcia — stopniała by liczba rzymskich katolików do ilości zawrotnie niebezpiecznej dla egzystencji papiestwa...

* * *

Papież Klemens VIII rzekł był ongi do biskupów ruskich, którzy po Unji Brzeskiej przybyli do Rzymu: „Per vos, Rutheni mei, Orientem convertendum spero..." Przypomniało się to po wojnie gorliwcom watykańskim i oto mamy komisję „Pro

Russia“, która nas niepotrzebnie poróżni przedewszystkiem ze Słowianami, wyznającymi prawosławie, a takich jest przeważająca ilość.

A oto małe pendent. Czytaliśmy w lipcu 1932 r. po pismach taką wiadomość: „Z inicjatywy J. E. ks. bisk. Karola Radońskiego, pasterza djecezji włocławskiej, Instytut Akcji Katolickiej we Włocławku organizuje w czasie od 15—31 sierpnia b. r. Polsko-Jugosłowiański Zjazd i Kurs duszpastersko-społeczny w Lublanie (Jugosławia). Dyrektorem tego kursu został zamianowany ks. W. Kneblewski z Warszawy“ („Dz. P.“ z 12.VII. 32).

Jugosławia, jak wiadomo, jest trójwyznaniowa: prawosławno-katolicko-mahometańska, a Instytut Akcji Katolickiej we Włocławku urządza tam (w Lublanie) zjazd Polsko-Jugosłowiański połączony z kursem duszpastersko-społecznym, a więc katolickim... To zastanawiające... Pozatem wiemy, że katolicy Słoweńcy zgodniej idą z Serbami, niż katolicy Chorwaci. Trzeba więc ich katolicyzm (stolicą słoweńców jest Lublana) wzmocnić katolicyzmem polskim. W jakim celu? Nie sądzę, by katolicyzm Słoweńców potrzebował większego „nasycenia“ na wewnątrz; raczej na zewnątrz — a nuż otworzą się perspektywy katoliczenia prawosławnej Serbji...

Może jakiś papież biskupom polsko-słoweńskim powie: „Per vos, Poloni et Sloveni mei, Serbiam convertendam spero“...

* * *

Białe—czarne. To zależy: może być „białe“ i jednocześnie „czarne“... Chodzi o „patrjotyzm“ arcybiskupa Mieczysława Halki Ledóchowskiego.

Posłuchajmy ks. N. Cieszyńskiego: „Księża byli w Wielkopolsce nieustraszonymi obrońcami narodowości przed zachłannością pruską, śmiałymi budzicielami ducha i głównymi dźwigarami całego ruchu społecznego i kulturalnego. „Walka kulturalna“ opromieniała ich skronie aureolą bohaterstwa, a o niem najgłośniej opowiadały więzienia i twierdze pruskie, w których do ostatnich dni snuł się szept pacierzy kapłańskich. Nazwiska takich książąt kościoła jak Duninów, Przyłuskich, Ledóchowskich, Janiszewskich, Stablewskich, Likowskich jaśnieją na firmamencie polskim jako gwiazdy o pierwszorzędnym blasku“. („Dziennik Poznański“ nr. 74, z 31.III. 32; podkreślenia moje, również niżej).

A oto co pisze historyk, dr. A. Wojtkowski, na ten sam omal temat: „ Wr. 1870 zrzekł się (Libelt) mandatu (poselskiego) ostatecznie. — Taki był koniec jego zawodu parlamentarnego. Trwał natomiast nadal spór jego z arcybiskupem Mieczysławem Ledóchowskim i oddanem temuż duchowieństwem o stanowisko księży w walce obronnej z naporem germańskim. Ledóchowski, objąwszy rządy obu archidjecezyj w roku 1866, zakazał niebawem duchowieństwu udziału w agitacji przedwyborczej,

przyjmowania mandatów poselskich, a wreszcie także śpiewania pieśni „Boże coś Polskę“ w kościołach. Arcybsikup, widząc, że utożsamianie polskości z katolicyzmem ściągało gniew rządu pruskiego na Kościół, chciał, w rzekomym interesie Kościoła, katolicyzm zupełnie oddzielić od polskości. Przeciwko takiemu poczynaniu arcybiskupa wystąpił bardzo stanowczo Libelt“... („Kurjer Poznański“ nr. 173, z 15.IV. 32).

Dodatkowo nadmienię, że w latach działalności „patrjotycznej“ arcyb. Ledóchowskiego narodził się pewien czterowiersz, który, odżył w pamięci starszych generacyj Poznania, podczas przenosin zwłok arcybiskupich przed kilku laty. Otoów czterowiersz:

Ledóchowski Halka
Jezuicka lalka;
Ni to Dunin, ni Przyłuski,
Tylko sobie durak pruski...

Jasnem jest za czyją charakterystyką oświadcza się ów czterowiersz.

* * *

Ciekawe, że prawdziwa charakterystyka kardynała Ledóchowskiego ukazała się właśnie w piśmie endeckiem — w „Kurjerze Poznańskim“. Nie ksiądz ją pisał. Noblesse oblige...

Wogóle prawda, kolidująca z „prawdą katolicką“, coraz to częściej zaczyna się przedostawać na łamy wspomnianego dziennika i innych endeckich. Te wykolejenia z łgarstw tradycyjnych zdają się potwierdzać rzecz ogólnie znaną, że wytykanie przez endeków innym t. zw. bezbożnictwa, jest tylko grą polityczną, obliczoną na oszukiwanie szerokich warstw społecznych, nad któremi chce się panować.

Oto inny przykład. Z powodu rocznicy św. Kingi, ukazał się był w tymże „Kurjerze Poznańskim“ (z dn. 23.VII. 32) artykuł prof. T. Grabowskiego, stałego współpracownika tego pisma. Pisze on w swym artykule o rzeczach, które w terminologji kościelnej nazywają się „cudami“, a więc np., że ciało św. Kingi „otacza dziwna woń i nieustająca światłość“ (bardzo często spotykane „zjawisko“ u t. zw. świętych) i o innych cudach, za sprawą św. Kingi powstałych. Ale artykułowi swemu daje tytuł: „Żywa legenda Pienin“. Tak — legenda...

Wszakże najciekawszym jest początek artykułu, bardzo zresztą bolesny dla wielkopolskich, w szczególności gnieźnieńskich, dewotów, mianowicie, gdzie czytamy następujące słowa prof. Grabowskiego o św. Wojciechu: „Tak powstała legenda o św. Wojciechu, Stanisławie, Kindze i innych. Nie podcięła kultu św. Wojciecha grabież czeska jego relikwij w r. 1038, bo podjął go (kult) zdobywca Pomorza, Krzywousty...“‘

Zapewne, od dawna przecież wiemy, że św. Wojciechów jest dwuch: jeden leży w Gnieźnie, drugi — w Pradze (czeskiej). Który prawdziwy — nie wiadomo. Może żaden. Mniejsza

o to. Znamiennem jest, że ta prawda ukazuje się w endeckim „Kurjerze Poznańskim“, ostoi kleru archidjecezji gnieźnieńsko-poznańskiej.

Ciekawem też jest, że kardynał A. Hlond w swym liście pasterskim „O chrześcijańskie zasady życia państwowego“, wspominając o „wstawiennictwie naszych świętych Patronów“ i datując list ów: „Gniezno, dnia 23 kwietnia 1932 r.“ — nie wymienia z imienia tego patrona Polski, który spoczywa w jego archidjecezji; nie pisze: dan (list) u grobu św. Wojciecha...

Zlekceważył go. Ale, może to i dla kardynała Hlonda gnieźnieńskie relikwje św. Wojciecha już tylko — legenda?...

TADEUSZ JAROSZEWSKI.

Wywiad parafjalny.

Dwadzieścia dwa lata temu prorokował Andrzej Niemojewski „Święte Jarzmo“ temi słowy: „A czy wiecie, szanowni obywatele, co nastanie, gdy rzeczywiście u nas będzie autonomja? Najpierw odbędzie się wielkie nabożeństwo w katedrze św. Jana i wielka procesja przez miasto. Następnie biskupi poczną objeżdżać swoje djecezje, otoczeni banderjami, dzierżeni pod pachy przez obywateli, dziatki zaś sypać im będą kwiaty pod stopy. Następnie wyjdzie rozporządzenie, wznawiające srogą cenzurę na wszelkich bluźnierców, piszących książki i wydających pisma. Potem kler opanuje wszystkie szkoły, wszystkie instytucje, wszystkie urzędy. Potem wypędzi z posad wszystkich ludzi jako tako liberalnych. Potem za pomocą policji narodowej będzie śledził wszystkich urzędników i pedagogów, czy chodzą do spowiedzi, czy bywają na nabożeństwach, czy pilnie odbywają rekolekcje wielkanocne...“[1]).

Procesje? Objazdy? Banderje? Były! Były! Są ciągle. Istna rewja w permanencji klerykalizmu. A jacy obywatele „dzierżą pod pachy“! I cenzura, i art. 172 K. K. o bluźniercach. Szkoły? — Już opanowane. Instytucje? Urzędy? — Owszem, ma się na oku. Tu i owdzie już pod okupacją. Posady? — Są sposoby i na posady. No, a ta... reszta?

Jak jest z tą resztą, zorjentujemy się cokolwiek, zapoznawszy się naprzykład z istotą dostosowanego do aktualnych warunków parafjalnego „liber de statu animarum“, tego „wspaniałego środka pomocniczego do wszechstronnej pracy“[2]) duszpasterskiej. Zakres tej księgi oraz zalecany kartotekowy jej układ sprawiają, iż zapewne stanie się ona jednem z najprecyzyjniejszych narzędzi w technice delaicyzacji stosunków publicznych i prywatnych. „W księdze o stanie dusz[3]) powinny się znajdować wszystkie wiadomości o osobach i o rodzinach w danej parafji, dające świadectwo o ich liczbie, zamożności, wykształceniu, obyczajach, położeniu społecznem, wpływach,

dążnościach, potrzebach, obowiązkach i stosunkach.“ Nie narażając się na zarzut przesady, można stwierdzić, iż wyłuszczone powyżej zainteresowania o wiele przewyższają ten ich zakres, jakiego szeroki ogół zwykł się spodziewać po duchownym kierowniku gminy wyznaniowej.

Skądinąd jednak — jest rzeczą zrozumiałą, iż pierwszym warunkiem wszelkiej pracy „w terenie“, jest zbadanie go dokładne, rzeczowe i wszechstronne. Wszechstronne oczywiście z punktu widzenia celów pewnej określonej działalności. Oto więc kwestja: gdzie jest granica duszpasterskiej ciekawości? w jaki sposób czyni się jej zadość? jaki z niej łacno może być zrobiony „doczesny“ użytek? Co do granicy, to już na zasadzie powyższego przytoczenia można rzec, iż jej niema; tak, jak niema granicy dla ingerencji kleru wogóle, a raczej jest taka, jaką zdoła sobie zakreślić mocno przyrługi pastorał. (Zob. mowę kard. Kakowskiego na zjeździe pisarzy katolickich, „Rac.“ Nr. 2 z lutego b. r.).

W powszechnej obecnie walce o władzę kler katolicki, mający w tej materji niebylejakie doświadczenie, może sobie rościć pewne nadzieje odegrania się na boisku dziejowem. „Kościół — to nie religja, kościół — to hierarchja“, powiedział jeden z aktualnie czynnych asów watykańskich. Ponieważ hierarchja — to ogół uczestników pewnej władzy, tedy krócej: kościół — to władza. Wystarczy teraz uświadomić sobie, jak dalece dominującym objektem propagandy klerykalnej jest właśnie kościół, bezustannie forsowany przez kler na czoło spraw religijnych, aby zorjentować się natychmiast, w jakim stopniu oficjalny katolicyzm jest pewną formą władania. Tak też to formułują klerykalne „szczyty“: „Pracować i działać po katolicku, to znaczy w podporządkowaniu i uległości autorytetowi władzy kościelnej.“ (Kard. Faulhaber). Ta cecha charakterystyczna katolicyzmu watykańskiego, polegająca na przeroście władczych instynktów, wybujałych na ewangelicznej doktrynie, sprawia, iż można się spotkać ze zdaniem, zaprzeczającem katolicyzmowi miana religji (Dostojewski); istotnie nie brak na zachodzie pewnych tendencyj, zmierzających do ostatecznego zdeprecjonowania pierwiastków metafizycznych i teologicznych w tem wyznaniu, tak przecież niepomiernie obarczonem tradycją władzy uniwersalnej (potępiony „maurasizm“ — Action Française). Bo też działalność kleru sprawia niekiedy wrażenie, iż w odpowiednich sytuacjach łatwiej tam o milczenie w sprawach „wiecznych“, niż „doczesnych“. Wszystko zależy od przypuszczalnego rezonansu.

Punkt ciężkości życia współczesnego został przerzucony z religijnego na społeczny. Dlatego to klerykalizm gwałtownie się „uspołecznia“, szukając dla swej racji bytu całkiem „świeckich“ argumentów. Częściej, niż djabłem, straszy się dziś masonem, miejsce pośmiertnego piekła zajmuje coraz częściej ziemski „kryzys“, jako kara za grzechy indywidualne i zbiorowe[4]). Niezbyt wrażliwych na nakazy kościoła przekonywa

się o konieczności postu względami higjenicznemi, a nawet w kwestjach strojów, miast „obrazy boskiej", woli się niekiedy operować bardziej widocznie emocjonującemi niektórych katolików hasłami walki z modą... żydowską i masońską. Generalnym argumentem jest jednak ostatecznie we wszystkiem wola, nakaz kościoła. Kiedy wyznawca jest już opanowany dostatecznie, co nie znaczy bynajmniej, by był dostatecznie wierzący, wówczas występuje owo „Roma locuta" ze wszystkiemi doczesnemi sankcjami.

Reakcja społeczna i polityczna całą siłą poparła podnoszący głowę klerykalizm, najniezawodniejszego, jak dotąd, swego sprzymierzeńca w walce o kapitalistyczny stan posiadania. Ale niech no zlikwiduje się kapitalizm, a kler i nim będzie straszył. Z grożącego zatonięciem „Lewjatana", już dziś poszczególni, a co subtelniejszą intuicją obdarzeni, mieszkańcy miejsc w ziarno obfitych próbują przesiadać się gdzieindziej. Już dziś pewien światły jezuita przestrzega swych komilitonów przed zbyt gorliwym sukursem dla przeżywających się ponoć form społecznych. Już się dyskutuje w „Odrodzeniu" na temat, „Czy komunizm można ochrzcić?" Widać, iż zainteresowanym na fantazji nie zbywało, skoro na samym lucyperze postanowili spróbować kropidła. Czasy powojenne z jednej strony wzmocniły kościół, odsłoniły jednak zarazem jego polityczne i społeczne fundamenty przez obalenie monarchji austrjackiej i hiszpańskiej, przez upokorzenia ze strony zbyt potężnego protektora, jakim jest faszyzm we Włoszech, i przez kłopotliwe bądź co bądź szukanie porozumienia z Hitlerem w Niemczech, czego dziś jesteśmy świadkami. Pomimo pewne kolizje natury raczej zupełnie drugorzędnej, wszędzie i zawsze kontakt z taką prawicą, „od której bardziej na prawo jest już tylko ściana"... Dodajmy do tego dalekie od interesów państwowych stanowisko kleru w Meksyku czy na Litwie, i wynikające stąd drastyczne komplikacje, a zrozumiemy snadnie, jak poprostu niezbędnym terenem ekspansji klerykalnej staje się Polska, w gwałtownem tempie dostosowywana do potrzeb kościoła wojującego przez biskupów, czyniących z niej jedną z twierdz najbardziej ortodoksyjnego dogmatyzmu i bazę operacyjną dla „czwartego obrządku", sprawiającego już dziś potężny zamęt w województwach wschodnich.

(Dokończenie nastąpi)

---

1) Myśl Niepodległa. Nr. 99 z r. 1909. (A. Niemojewski): „Święte Jarzmo", str. 680—681.

2) Pamiętnik Kursu Duszpasterskiego, urządzonego w Krakowie w d. od 5 list. do 9 list. 1928 r. Ks. poseł dr. A. Sobczyński: Znajomość parafji, str. 56. Podkr. T. J.

3) ibid., str. 48. Podkr. T. J.

4) (Hlond, August, kard.). O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem. Płock 1932 str. 6: „To przesilenie jest następstwem kryzysu moralnego. Ten wstrząs ogólny jest zapadaniem się wszystkiego, co zawisło w próżni, gdy z życia ludów usunięto Boga i Jego prawo" i t. d.

SPIS ARTYKUŁÓW POMIESZCZONYCH W ROCZNIKU 1932
w porządku alfabetycznym autorów.

PRENUMERATA „RACJONALISTY"

rocznie	zł. 4.—	zagranicą dol. 1.– rocznie
kwartalnie	„ 1.—	numer pojedyńczy 40 gr.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, ul. Poznańska 14 m. 19, tel. 9 26-55. P.K.O. 13214

Redaktor i Wydawca — Józef Landau

Skład: „Zjednoczeni Drukarze" Elektoralna 15 Druk. „Grafja" Orla 9.